Wyciąg z N-rów 1 i 2

KRAKUSA

rok 1891.

SŁOWO NA POWITANIE.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Z tem staropolskiem pozdrowieniem chrześciańskiem wstępuje *Krakus* w progi czytelników swoich, jednej wiary, jednych przekonań i jednej mowy; jako syn jednej ziemi, jako przyjaciel, jednych celów i jednakich dążeń, jednych nadziei i zamiarów.

Zaraz też na wstępie mówi co chce, co przynosi i co za jeden.

Zowie się to pismo *Krakus*, od owego księcia, który założył miasto, gdzie się ono pisze i drukuje. A jako Krakus oswobodził lud od wielkiej niedoli, gdy smok wszystek dobytek zjadał, tak i to pismo pragnie się przyczynić do tego, żebyśmy mogli koniec położyć biedzie, co nas wszystkich gnębi i gniecie.

W Krakowie, dawnemi czasy, na wieży zamkowej czujna straż trąbiła na pobudkę, gdy z daleka zbliżającego się nieprzyjaciela ujrzała, a na czterdziestu i sześciu wieżach i basztach warownego miasta, dawali strażnicy odezwę i budzili lud do czuwania i obrony. Tak i *Krakus* będzie trąbił na pobudkę po całym kraju i sam pójdzie w powiaty, po miastach i po siołach, przestrzegać będzie co tydzień przed nieprzyjacielem, ktory teraz nietylko się do nas zbliża, ale już, niby łowiec i myśliwy przebiegły, zarzucił sieci i obieże pomiędzy nami, aby łowić drzemiących i nieostrożnych. Gdyśmy spali, nasiał ten nieprzyjaciel groźny, pomiędzy łan narodu, kąkolu niezgody, zielska waśni, chwastu podejrzliwości i nieufności wzajemnej, bo z tego jemu korzyść największa. Już nawet w Berlinie zaczęli drukować po polsku gazetę, która ma roznosić pomiędzy lud nasz polski zepsucie i przewrotne zasady, wywracać praojców naszych katolicką wiarę, osłabiać ufność w Pana Boga, gasić miłość braci rodzonych, a siać niedowierzanie pomiędzy stan jeden i drugi, wzniecać podejrzliwość, która zézem patrzy na cudze powodzenie, budzić tę grzeszną żądzę, która cudzego dobra pragnie.

Więc *Krakus* będzie uczył, tak jak Bóg przykazał: bronić się od biedy, ratować się i dźwigać z upadku, ale o własnych siłach i Bożej pomocy, cudzego nie pragnąć, a swego na śmiech nie dawać. Będzie pisał o tem, co się w świecie dzieje, jak się inne narody handlem i przemysłem bogacą, jakie między sobą zawierają układy, jak się państwa i rządy łączą jedne przeciw drugim, boć to teraz niby pokój mamy w świecie, ale pokój zbrojny i wielce kosztowny, bo wojsk miliony stoją pod bronią, dlatego, że jedno drugiemu nie dowierza. Będzie dalej pisywał *Krakus* o tem, co u nas w kraju się dzieje, co na Sejmie galicyjskim we Lwowie uradzą nasi posłowie i nad czem w Radzie państwa w Wiedniu radzą posłowie całej monarchii austryackiej. O tem zaś będzie podawał wiadomości i listy, wprost od naszych posłów, więc z pierwszej ręki, a nie od tych, co często źle dosłyszą. Będzie pisywał o tem, co nas boli i dolega: o podatkach i upustach podatkowych, o ciężarach i o ulgach, o obowiązkach, które pełnić i o prawach, których bronić trzeba, w czem zaradzić i naprawić należy. Będzie więc *Krakus* drukował listy swoich czytelników i wiadomości z różnych okolic naszego kraju, ale nie będzie też zapominał o tych naszych braciach Polakach, których sroższa dola nęka, a z którymi nas łączy jedna wiara, jedno pochodzenie i jedna mowa.

Krakus nie szuka ni zysku ni zarobku, na własnych nogach stoi, niczyjej łaski nie szuka, więc nikomu pochlebiać nie potrzebuje, dlatego prawdę zwać będzie po imieniu, pisać szczerze i otwarcie, nic nie obwijając w bawełnę. Jako lekarz dobry, będzie lekarstwo podawał ni słodzone, ni cukrzone, ale skuteczne. Pisać będzie dla ludzi dorosłych, a nie dzieci, więc będzie pisał prosto i zrozumiale, ale takie rzeczy, ktore ludziom potrzebne i ku pożytkowi przydatne. Do tej zaś roboty zaprosił sobie *Krakus* ludzi biegłych w pisaniu, bywałych w życiu publicznem, w obywatelskich sprawach

doświadczonych a uczciwych, żeby ten chleb nauki, co tydzień dla czytelników wypiekany, był zdrowy i bez zakalca.

Jako z Maryackiej wieży w Krakowie budzi codzień mieszkańców miasta trębacz, wygłaszając na cztery strony świata pieśń o Boga Rodzicy, aby im przypomnieć, że każdego dnia robotę z Bogiem rozpoczynać trzeba, tak i *Krakus* będzie często przypominał te piękne słowa naszej pieśni:

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Do Boga zwracając się z pierwszym numerem, pragnie *Krakus* zawsze ku niemu serca swoich czytelników podnosić, bo ztamtąd tylko pomocy spodziewać się wszyscy możemy. Będzie też podawał piękne ryciny, obrazy i żywoty świętych Patronow naszych i będzie przypominał, że bez Boga chleb nie syci i na nic wszelka praca. Bo jak żydzi na puszczy będąc, gdy o Bogu zapomnieli, przykrzyli sobie chleb, który im z nieba dawał, tak i lud polski zaczyna już sobie przykrzyć ten chleb, który rodzi nasza polska ziemia i za morze biegnie, szukać garnków egipskich mięsa. *Krakus* też będzie i ztamtąd podawał wieści: z północnej Ameryki, czyli t. zw. Stanów Zjednoczonych i południowej, czyli z Brazylii, dokąd teraz płatni zdrajcy podmawiają ludzi łatwowiernych, co na własną zgubę zamykają oczy, a zatykają uszy na wszelkie rady i przestrogi .

Krakus bierze na się wielką i ważną robotę. Co z wiekami zaniedbane, to chce naprawić: śpiące budzić, ospałe trzeźwić, do pracy wołać, a czyni to w tem przekonaniu, że na robotę zawsze czas i że lepiej zacząć późno, niż nigdy. W tem swojem przedsięwzięciu szukać będzie *Krakus* oparcia na silnych i niewzruszonych podstawach. Pierwsza z nich, to Kościół katolicki i jego Opoka, która do końca świata nie upadnie t. j. Ojciec św. w Rzymie. Skoro ta podpora jest wieczna, to z nią musi się łączyć, kto nie chce zginąć. Więc *Krakus* wywiesza jawnie i otwarcie chorągiew katolicką z krzyżem Chrystusowym, bo pod tym znakiem stali zawsze nasi ojcowie i *Krakus* od katolickich zasad nie odstąpi nigdy.

Co się zaś tyczy zasad państwa, czyli polityki, stać będzie *Krakus* przy osobie Najjaśniejszego Pana, którego ojcowskiej ręce zawdzięczamy to, że w tej części Polski, która się Galicyą zowie, mamy wolność wiary, wolność mowy polskiej w sądzie, urzędzie i szkole, że mamy samorząd własny i że sami o sobie radzić możemy.

Jako pismo polskie, będzie *Krakus* przypominał, że nie myśmy się zrobili narodem polskim, lecz że nas Pan Bog Polakami stworzył i wyznaczył nam osobne zadanie i posłannictwo pomiędzy narodami innemi. Więc też Pan Bóg nie chce, żeby naród polski zginął, mowę swą utracił, lub w inny naród się obrócił. *Krakus* będzie więc uczył miłości Ojczyzny, ale tej prawdziwej, która kocha wszystko, co ojczyste: ziemię polską, język polski i zwyczaje, a wszystkich Polaków jak braci. We wszystkich też sprawach domowych stać będzie *Krakus* na tej starej zasadzie, że zgoda buduje, a niezgoda rujnuje. Będzie więc budował, a nie burzył, w tem przekonaniu, że lepiej stary dom naprawiać, niż go burzyć i niweczyć, nie mając nowego. Więc choć *Krakus* kąkolu wszystkiego nie wyrwie, choć chwastu odrazu nie wypleni, to jednak ziarno zgody i miłości, zdrowej nauki i rad uczciwych siać będzie w narodzie, a gdy Bóg pobłogosławi zbożnej robocie, rozrośnie się ta siejba na polskim łanie i zejdzie bujnym plonem lepszej doli.

W Imię Boże przychodząc, niesie z sobą *Krakus* to, co najdroższe na ziemi: naukę zdrową, radę szczerą, przestrogę baczną, a od czytelników chce tego, żeby uważnie czytali.

Szczęść Panie Boże.

Krakus.

Rady na ludzką biedę

przez
Jakóba z pod Wawelu.

I.

Niemieckie przysłowie mówi: patrz komu ufać, a Polacy utrzymują, że trzeba zjeść beczkę soli, nim się pozna przyjaciela. Mnie się jednak zdaje, że podejrzliwych ludzi jest na świecie więcej niż łatwowiernych, a i takich niedowiarków nie brak teraz, co nikomu nie wierzą, nawet w Pana Boga, ale o takich niema tu co pisać, bo już Pismo święte mówi o nich, że to są głupi ludzie. Jużem ja też doświadczył w długiem życiu tego nieraz, że im kto głupszy, tem podejrzliwszy, a ufa tylko temu, kto mu pochlebia i kadzi pochwałami, unika zaś tego, kto prawdę mówi, bo prawda w oczy kole, ale najbardziej w oczy słabe i chore, tak jak słońce. Natomiast człek roztropny ceni dobrą radę wyżej złota, ale szuka jej u mędrszego, a gdy się przekona, że ma sprawę z człowiekiem, który ma głowę nie od parady, ale od rady, wtedy rad

posłucha rady. Dla tego przychodząc tu z radami, muszę i ja na wstępie się oświadczyć, com za jeden, bobyś mi, miły czytelniku, może i nie wierzył, a ja właśnie tego pragnę i żeby moje rady nie szły na wiatr, jak plewy, tylko żeby się na coś dobrego przydały.

Jestem tedy stary pisarz i jużem chorągiewki u pióra nadgryzł niemało, jako że nieraz to bywa, że przy pisaniu człekowi się nic klei, więc piórko gryzie i po czuprynie się skrobie. Ja też włosy z czupryny prawie całkiem wydrapałem, ale tem się pocieszam, że jeszcze nikt nie widział osła łysego. Byłem zaś pisarzem *Przyjaciela Ludu*, który się drukował w Chełmnie nad Wisłą, na ziemi chełmińskiej, którą dawnemi laty byli nam wydarli Krzyżacy, aż ją potem oddać musieli, gdy wzięli w skórę pod Grunwaldem, ale teraz znowu ta ziemia jest pod Prusakiem, który ją sobie zabrał, kiedy przed stu laty Polskę rozbierali.

To pismo było pisane dla ludu polskiego, a liczyło sobie czytelników na dziesięć tysięcy, jako że w tamtych stronach jest naród do czytania wielce ciekawy i choć wyrobnik biedny, to bez gazetki obyć się nie może. Dla tego też znaczna gromada czytywała, com pisywał przez lat kilka pod nazwiskiem Jakóba od tumu, jako żem w Poznaniu opodal tumu, czyli katedry mieszkał. Teraz mieszkam w Krakowie pod Zamkiem na Wawelu, opodal Smoczej Jamy i tak się też piszę przed wami: Jakób z pod Wawelu.

Więc nieraz ci ja patrzę na ten Zamek królewski, na kościół katedralny, na mury i baszty starożytne, a gdy księżyc w noc zimową zejdzie ponad wieże kościelne i oświeci te wspaniałe gmachy, jakby srebrem oblał i gdy na niebie wyiskrzą się gwiazdy, jakby złote pieniądze rozsuł po błękitnym aksamicie, a Wisła u stóp Wawelu, okuta w lodowe kajdany, cicho, jakby martwa leży i jakby czekała, aż ją słońce wiosenne od tego jarzma oswobodzi: to taki wspaniały mam przed sobą widok, że aż oczy chcą wyskoczyć z głowy, bo się napatrzeć nie mogą. A jak to zwykle bywa, że od wytężenia w oczach się majaczy, więc i mnie snują się przed oczami w cieniach, pomiędzy murów załomami, przeróżne postacie: zbrojni hussarze polscy i towarzysze pancerni, halabardnicy i żołnierze z rusznicami. A wszyscy obwołują zawsze hasła, któremi do czujności się budzili i z któremi na ustach konali, dając za ojczyznę krew i gardło. A kiedy w okna zamkowe zajrzy światło księżyca, wtedy nieraz mi się zdaje, że tam się komnaty królewskie roją od biskupów polskich, senatorów, wojewodów i kasztelanów, że oni tam z królem radzą nad rzeczą pospolitą i publicznem dobrem. Czasami zdaje mi się, że po zamkowej górze chodzą długim rzędem, wspaniałe postacie naszych królów i wodzów, a zawsze przodem kroczy ów książe, co założył nasz gród i dał mu swoje nazwisko Krakusa.

Wielcy i mali kłaniają mu się, witają go szczerze i radośnie, boć to on lud swój wybawił od ciężkiej biedy, jaką miał w owym smoku, o którym podanie niesie, że lud ogładzał, zjadając mu najlepsze barany i cielęta, jako że bestya żarłoczna słomy ani plew nie jadał. Aż mu wreszcie Krakus takiej siarczystej strawy zadał, że go licho zwiało.

Poszła sobie wtedy bieda światami, a w polskiej ziemi zapanował taki dobrobyt, że kołodziej prosty mógł całe tłumy żywić, gdy się zebrały na wybór nowego króla i sam został królem obrany w Kruszwicy nad Gopłem, na wielkopolskiej ziemi. Więc ja nieraz mówię sobie tak: ej, miły Krakusie, żeby cię tak Pan Bóg wskrzesił, tobyś zobaczył, że tu teraz wprawdzie smoka niemasz w jamie pod Wawelem, ale jednak lud jest biedny, że aż strach, bo bieda zjada nam wszystko z przed nosa. A taka ta bieda twarda, żebyś i siekierą nie uciął, i tyle ma głów i rąk, że choćbyś jedną uciął, to sto innych wnet odrośnie. Pewnie byś też dziś u żadnego kołodzieja miodu i mięsiwa tyle nie znalazł, żeby mógł aż gromadę ludzi żywić, bo sam by zjadł chudzina, gdyby co było w domu.

Krakus nie wstanie i biedy nam nie zabije, ale pozbyć jednak by się trzeba tego licha, które się do nas przyplątało i tak się rozrosło, że już szpik z kości nam wyjada. Coraz głębiej sięga ramionami, a ramion zda się mieć tysiące, a kogo pochwyci, tego powali, tak że traci odwagę i tylko załamuje ręce, a coraz głębiej w biedę zapada. Najgorsza przy tem, że ta bieda ma siostrę rodzoną, która się zowie nędza, a obie wloką za sobą całą czeredę rodzeństwa, co jedno to brzydsze i haniebniejsze. Więc idzie z niemi rodzony brat niedostatek i brat przyrodni głód; potem idzie grzeszne rodzeństwo: pijaństwo, różne nałogi, a w ślad za niemi złodziejstwa, morderstwa i wszelakie zniewagi boskie.

Ta familia jest tak stara jak ludzka bieda, która przyszła na ludzi z chwilą, gdy zostali wygnani z raju, gdzie naszym rodzicom było dobrze i ciepło, a potem nagle się zrobiło i głodno i chłodno. Więc z potrzeby wzięli się do roboty, przyczem bieda była im nauczycielką, bo ona już nie jednemu napędziła rozumu do głowy i nie jednego nygusa z zapiecka wygnała do pracy, gdy mu do żywego dojadła.

Do tej szkoły chodziły też wszystkie narody i różni ludzie już sobie łamali głowę nad tem, jakieby lekarstwo wynaleźć na ludzką biedę, bo wielki by to był dobrodziej, coby ludzi od biedy uwolnił i wyżej księcia by go szanowali, jako i temu Krakusowi, co w Polsce biedę wytępił, lud był wdzięczny i po śmierci mu tego jeszcze nie zapomnieli i usypali wysoką mogiłę. Mnie się mogiły nie zachciewa, ani też na wdzięczności ludzkiej nigdy zamków nie budowałem, ale jeśliby te moje rady, które na ludzką biedę tutaj

pisywać zamierzam, choć trochę jej rogów przytarły, tobym się czuł bardzo szczęśliwy.

Prawdać to stara, że łatwiej rady dawać, niż je pełnić i wykonywać, ale stare rady, które pozbierałem, także coś warte. Cała bowiem osobna nauka już się złożyła na to, aby ludzi od biedy ratować i dano jej nazwisko greckie, może dla tego, że Grecy dobrze się biedzie bronili, a cały rozum zasadzali na tem, żeby człek umiał się rządzić we własnym domu. Ztąd, ponieważ dom zowie się po grecku *ojkos*, a rząd *nomos*, całą tę naukę nazwano *ojkonomią*, albo ekonomią, jako też rządców zowią ekonomami, chociaż jeden ekonom nie równy drugiemu.

Prawdę mówiąc, nasi ojcowie byli też tacy mądrzy jak Grecy, skoro wybrali sobie Piasta na króla, choć był tylko kołodziejem, gdy widzieli, że taki z niego dobry ekonom a gospodarz zawołany i dom ma zasobny, jako tego doświadczyli. Rozumieli więc, że i w kraju całym będzie umiał rządzić, skoro się dobrze rządzi w swoim domu. Wprawdzie wyczytałem w starych księgach, że właściwie nie Piast, tylko jego żona Rzepicha była taka gospodyni zawołana i zaradna i że to jej zasługą dom ich był taki zasobny, iż mogli całe tłumy posilić, ale o tem pomówimy na inny raz, bo się boję na samym wstępie wszczynać tę wojnę, która się od początku rodu ludzkiego toczy między nami a niewiastami.

Kto ciekawy to się wielu rzeczy doczyta, a tak z Nowym rokiem weźmiemy się do tego, żeby wspólnemi siłami biedę wygnać z kraju, w czem nam szczęść Boże.

Jakób z pod Wawelu.

Emigracya do Brazylii.

W Niemczech, w miastach leżących nad morzem, potworzyły się oddawna spółki do przewożenia ludzi okrętami do Ameryki. Ażeby mieć dobry dochód, spółki te zachęcały wszystkich, zapomocą dzienników i ogłoszeń, do opuszczania kraju rodzinnego i przeniesienia się na drugą półkulę świata. Kiedy jednak to nie bardzo pomagało, wzięli się przedsiębiorcy okrętowi na inny sposób. Postarali się mianowicie o wielką ilość ajentów, przeważnie żydów, którym obiecali wynagrodzenie od każdego namówionego przez nich do porzucenia swego kraju. Sprytni ajenci nie przebierając w środkach, zaczęli lud bałamucić, obiecywać mu złote góry za morzami, aby tylko właściciele okrętów mieli jak najwięcej podróżnych. Naumyślnie przysyłali z Ameryki kłamliwe listy o dobrem powodzeniu tych, co kraj porzucili. Przysyłali nawet pieniądze na dowód, że w Ameryce wiele zarobić można. Czasem zdarzył się i list prawdziwy, boć na całym świecie, jak się komu uda, majątek zrobić może. Ale więcej takich listów było kłamliwych. Jeżeli zaś do jednej osoby w gminie przyszedł taki list z pieniędzmi, ludzie zaczęli wierzyć, że Ameryka to raj obiecany, a nie zrozumieli, że te kilkadziesiąt guldenów było tylko łapką na niedoświadczonych. Właściciele okrętów wydali na takie kłamliwe listy tysiąc lub dwa tysiące złotych rocznie, a zachęcali do emigracyi wielką ilość ludzi z różnych stron kraju. Proces w Wadowicach wykazał, że w ciągu jednegu roku emigrowało od nas do Ameryki koło trzech tysięcy ludzi. Niechby każdy za przewiezienie okrętem do Ameryki zapłacił 50 zlr., to właściciele okrętów mieli dochodu 150 tysięcy reńskich. Dla zarobienia takiej wielkiej sumy, nie żal im było nawet parę tysięcy rocznie na listy pieniężne wydawać.

Proces wadowicki powinien był przekonać o co właściwie idzie tym, co ludzi do emigracyi namawiają. Rachunki jakie sąd znalazł, dowodziły że sami ajenci zarabiali rocznie na biednych emigrantach koło stu tysięcy zlr., nietylko biorąc za każdego oznaczoną przez właścicieli okrętów kwotę, ale obdzierając i wprost okradając biednych emigrantów, którzy im zawierzyli. A jednak widzimy, że te brzydkie usiłowania ajentów nie ustały, że jeszcze znajdują się tacy łatwowierzący, co sprzedają dobytek za marne pieniądze, opuszczają rodzinną wieś, rodzeństwo i dobrowolnie skazują się na nędzę i ciężką pracę dla obcych na obcej ziemi.

Ponieważ wskutek procesu wadowickiego, rząd rozpoczął ścigać ajentów w Galicyi, przeto mniej mając u nas pola dla swego brzydkiego rzemiosła, przenieśli się oni w znacznej części do Królestwa Polskiego i zaczęli naszych braci z pod Moskala namawiać do emigracyi. I stała się rzecz smutna: oto w ciągu paru miesięcy ośm tysięcy ludności wiejskiej, mieszkającej około Płocka i Łomży, opuściło zagrody domowe i pojechało do amerykańskiego kraju, zowiącego się Brazylią.

W kraju tym nastał niedawno rząd nowy złożony z rozmaitych awanturników, którym potrzeba do rządzenia pieniędzy, a tymczasem choć Brazylia jest ogromna, bo kilka razy większa od całego państwa austryackiego, to ludzi w niej bardzo mało, bo kraj jest strasznie niezdrowy, gorący, często zalewają go rzeki, a żyją w nim także dzicy Indyanie, co napadają na ludzi, palą domy, zabierają życie i dobytek. Otóż podatków do skarbu brazylijskiego wpływa nie wiele, bo są ogromne bezludne obszary, w których nikt nie mieszka i ziemi nie uprawia. Na tych obszarach są nieprzystępne bagna i odwieczne lasy, tak zarosłe i splecione olbrzymiemi krzewami i zielskami, że człowiek do takiego lasu dostać się nie może, a tylko zwierz dziki wśród nich przebywa. Straszne zwierzęta zwane jaguary, ogromne duszące i jadowite węże mieszkają w tych puszczach i biada temu kogo zoczą, bo już od śmierci się nie wyprosi.

Rząd brazylijski postanowił na gwałt ściągać ludzi do zamieszkiwania tych pustyń. W dniu 20 czerwca r. z. wydał akt, na mocy którego zobowiązał się płacić właścicielom okrętów 120 franków (przeszło 54 złr.) za każdego emigranta mającego lat 12 do 50 a przywiezionego z Europy do Brazylii. Za dzieci od lat 8 do 12 płaci rząd brazylijski po 60 franków (przeszło 27 złr.), za dzieci zaś od lat 3 do 8 po 30 franków (blisko 14 złr.). Prócz tego każda spółka właścicieli okrętów, tworząca tak zwane „Towarzystwo żeglugi", która przywiezie w ciągu roku 10 tysięcy ludzi, dostanie od rządu jeszcze 100 tysięcy franków (46 tysięcy złr.). Jedno takie Towarzystwo nazywające się „Lloyd północno niemiecki" zarobiło blisko półtora miliona franków, gdyż przewiozło 11 tysięcy ludzi. Mając tak świetny zarobek na biednych emigrantach, nic dziwnego, że właściciele okrętów wszelkiemi sposobami starają się lud rolniczy w całej Europie bałamucić. Coraz więcej zatem rozpuszczają po świecie ajentów, aby namawiali biednych ludzi do opuszczenia swej ojcowizny. I wielu głupich Niemców i głupich Włochów dało się złapać i tysiącami podążyło do Rio Janeiro (czyta się Żanejro), głównego miasta Brazylii, zkąd ich posłano na pustynie.

Na nieszczęście i do nas zaszli ajenci i, jak to już powiedzieliśmy, wiele ludu z pod Płocka i Łomży obałamucili. Na tych biednych ludziach zarobią ajenci, zarobią właściciele okrętów, zarobi wreszcie rząd brazylijski. A któż na tem straci? Naturalnie straci kraj rodzinny, bo mu ubędzie ludzi do pracy w polu, stracą wreszcie ci wszyscy co wyjechali za morze, bo zamiast kawałka chleba wśród swoich, zamiast własnych chałup i zagród, będą jak robocze bydlęta upadali ze znużenia pracując dla brazylijczyków, którzy tylko tyle o nich dbać będą, aby nie umarli z głodu, gdyż są im do roboty i zaludnienia pustyń potrzebni.

Smutne to są sprawy, nic więc dziwnego, że wszyscy o nich mówią i piszą. Ale z tego co jest drukowane po dziennikach, najbardziej ciekawemi są opowiadania ludzi, co sami podróż do Brazylii odbyli, poznali kraj ten i jego mieszkańców. Widzieli oni na własne oczy co się tam dzieje, a więc najlepiej zaznajomić nas mogą z położeniem naszych braci, co niebacznie rzucili swoich, dążąc po złoto, którego nie dostaną. Z opowiadaniami temi o Brazylii i drodze do niej, chcemy zapoznać naszych czytelników.

Oto przybył do Warszawy rodak nasz Stefan Nestorowicz, człek lubiący podróżować po świecie. Zwiedzał on dawniej Azję, potem Afrykę, nareszcie popłynął do Ameryki południowej, do Argientyny i Brazylii, gdzie trzy lata przesiedział. Teraz na prośby ludzi ciekawych, którzy chcą wiedzieć czystą prawdę, jak tam jest w tych krajach dalekich, opisał co pamięta ze swej podróży i dał do druku w „Kurjerze Codziennym".

A oto jego własne słowa: „Cztery miesiące temu, bo dopiero w końcu Lipca tego roku, wyjechałem z Brazylii. Przebywałem lat trzy w Ameryce południowej, przeszedłem lub przejechałem całą jej długość, aż do najbardziej na południe wysuniętego przylądka Ziemi Ognistej.

„Przed trzema laty postanowiłem tam jechać, do czego zachęciły mnie opowiadania o przyrodzie tego kraju. Wyruszyłem przez ciekawość, nie spodziewając się bynajmniej, że będę zmuszony szukać tam pracy. Przyzwyczajony do mało kosztownych podróży po Europie, po Azyi i Afryce, z niewielkim zapasem grosza w kieszeni wsiadłem na okręt parowy we włoskiem mieście Genui.

„Parowiec ten nazywał się „Roma", a wiózł emigrantów (wychodźców) włoskich, którzy jadą zwykle trzecią klasą.

„Właściciele okrętów starają się zwykle pomieścić w jaknajmniejszej przestrzeni jak najwięcej osób.

„Jadących trzecią klasą umieszczają w spodniej części okrętu na głębokości dwóch i pół sążni pod pokładem, czyli pomostem. Jest to izba o żelaznych ścianach. Jeżeli służy na pomieszczenie dla 500 osób, to długości na 43 łokcie, szerokości 20, a wysokości półczwarta łokcia. W izbie tej po obu stronach i we środku, przez całą jej długość poúczepiane są półki, podzielone na wązkie po trzy ćwierci łokcia przegródki: to są niby łóżka dla podróżnych.

„Pożywienia podróżnym trzeciej klasy, to jest wychodźcom, dają tak mało, że wszyscy są ciągle głodni.

„Zaraz po wejściu na okręt dostaje każdy po jednym blaszanym talerzu, takiż kubek, łyżkę i widelec. Miejscem pożywienia jest zazwyczaj łóżko, na którem czekać trzeba, aż roznoszący w wiadrze jedzenie naleje na miskę. Na niektórych jednak statkach jeść wolno tylko na pokładzie, gdzie każdy siada lub stoi, gdzie na to miejsce pozwala. Nawet w razie lejących jak z cebra deszczów wchodzić do wnętrza okrętu nie wolno.

„Daleko gorzej od braku jedzenia daje się czuć niedostatek wody. Na okręcie jest zbiornik do wody, który napełniają przed puszczeniem się w drogę, wszakże zabraną wodę wydzielają bardzo oszczędnie, by jej nie zabrakło na pełnem morzu, bo woda morska nie zdrowa do picia ani do jedzenia. Jadący pierwszą i drugą klasą, oficerowie, a nawet i niższa służba mają poddostatkiem wody do picia, przecedzonej i ochłodzonej lodem. Za to dla jadących trzecią klasą pompa zamknięta jest na klucz. Tylko na pomoście w miejscu niezasłoniętem od palącego jak ogień słońca, stoi żelazny czworograniasty zbiornik. W każdym jego rogu urządzony jest smoczek z rurką idącą aż do dna. Kto chce pić, bierze smoczek w usta i ssie. Możnaby się jeszcze do tego przyzwyczaić, ale woda w zbiorniku zaledwie przez pierwszych dni kilka jest jaka-taka; później co-

raz gorsza, a od połowy drogi już wprost wstrętna Zbiornik bowiem, jako stale przytwierdzony do okrętu nie bywa nigdy myty, oczyszczany, lecz tylko dopełniany w miarę potrzeby; ztąd męty i robactwo pokrywają dno coraz to grubszą warstwą. Żelazne ściany, a z niemi i woda, ogrzewają się od słońca jak w piecu i woda gnije.

„Tymczasem z powodu upału, i od niezdrowych, nieświeżych pokarmów, coraz więcej schnie każdemu w gębie. Z litością patrzyłem na ten tłum, cisnący się do zbiornika z zeschniętemi od pragnienia usty, a jednocześnie z tem smutnem przeświadczeniem, że wypadnie się napić cuchnącej wody i oderwać usta wpierw, zanim się pragnienie ugasi. Biedacy radzili sobie jak mogli; ssali wodę, zakładając poprzednio na smoczki chustki od nosa. Po zdjęciu chustki widać na niej było galaretowatą masę brudno zielonego koloru. Do mycia się urządzono pompę, dostarczającą wody wprost z morza.

„Nieznośnie też dokucza jadącym na okręcie choroba morska. Zaledwie jeden na stu podróżnych wolny jest od niej. Z chorych niektórzy doświadczają wymiotów łatwych i krótkotrwałych nudności, nie tracąc jednak apetytu. Ale większa część cierpi ból głowy, nudności, wstręt do jedzenia i kurcze, co wszystko zaczyna się z chwilą, gdy statek wypływa na pełne morze. Choroba ta trwa dni kilka, następnie zaś powtarza się przy każdej silniejszej burzy, których kilka przetrwać trzeba zazwyczaj, zanim parowiec przepłynie przez szeroki ocean Atlantycki.

„Wielu jest takich, co cierpią na morską chorobę przez cały czas trwania podróży. Tacy nic nie jedzą i ciągle wymiotują żółcią. Dochodzą więc do takiego wycieńczenia, że ruszyć się nie mogą o własnych siłach. Męczennicy ci rzadko bardzo wymykają się od śmierci. Jeżli dojadą do Brazylii, to nietylko nie zdolni są do pracy, ale, co gorsza, bez sił, koniecznie potrzebnych, żeby wytrzymać w tamtejszem powietrzu. Choroba morska i w domu lub szpitalu, przy dobrej opiece byłaby już przykrem cierpieniem; na okręcie zaś jest bardzo ciężka i trudna do zniesienia.

„Ja miałem to szczęście należeć do tych wybrańców, którzy chorobie tej nie podlegali. Bardzo mało jest jednak takich. Nawet niektórzy ze służby okrętowej, co dziesiątki lat żyją na morzu, w czasie silnych burz, ulegli tej chorobie. Chorować w tej ciasnocie, przy dusznem, cuchnącem powietrzu, przy braku jakiejkolwiek opieki, kiedy dla napicia się wody samemu drapać się potrzeba na drugie piętro, jest rzeczą niezmiernie przykrą.

Dalszą swą podróż okrętem, tak Nestorowicz opisuje:

„Służba okrętowa nie pozwala pozostawać za dnia, choćby najbardziej chorym, nawet na owych ciasnych i niedogodnych łódkach. Wszyscy muszą dzień spędzać na twardym pomoście, gdzie przebojem zdybywać trzeba miejsce. Niema też ani grzeczności:, ani litości. Nie zważają ani na wiek, ani płeć, ani na chorobę człowieka.

„Takich doznając przyjemności płynęliśmy na okręcie parowym „Roma“ najpierw po morzu Śródziemnem wzdłuż brzegów Francyi, a pózniej Hiszpanii, gdzie można było widzieć miasta Marsylię i Barcelonę. Wreszcie minąwszy silną fortecę Gibraltar, co sterczy na wysokiej skale, znaleźliśmy się na oceanie Atlantyckim. Przez kilka godzin widać było zdala brzegi Afryki. Póżniej i one znikły. Prócz błękitnego nieba, jakby stykającego się z szafirowemi wodami oceanu, nic już dojrzeć nie było można.

Piątego dnia tej podróży wszczęła się dość silna burza, która towarzyszyła nam aż do wyspy św. Wincentego. Bałwany zalewały pokład; wszyscy dusili się w sypialni. Nareszcie spuszczono na dno morza kotwicę na długiej linie, żeby trzymała okręt w miejscu. Niedaleko widzieliśmy ląd, statek miał ztamtąd nabrać węgla na dalszą podróż.

„Kto tylko miał trochę grosza przy duszy, wysiadał z okrętu do łodzi i spieszył na ląd, by dotknąć stopą ziemi i pokrzepić siły na dalszą drogę obfitszym a zdrowszym pokarmem. Ale wszyscy doznali zawodu. Dwie brudne jadłodajnie portugalskie nie posiadały zapasów, by nakarmić nawet kilkadziesiąt osób; a tu kilkaset domagało się posiłku. Ja, choć pierwszą łodzią tam przybyłem, nic jednak dostać nie mogłem, prócz kawałka ciasta z cebulą i butelki kwaśnego wina. Za ten posiłek zapłaciłem siedm, wyraźnie siedm franków (3 zł.).

„Dwie rodziny, złożone z sześciu osób, zostały w tem miasteczku, by czekać na jaki statek, jadący do Europy. Już w połowie podróży skwitowali z bogactw brazylijskich i postanowili wrócić do swego kraju.

„Drugiego dnia o północy, korzystając z przypływu, podniesiono kotwicę i ruszyliśmy w dalszą drogę. Podróż stawała się coraz nudniejsza. Kiedy dojechaliśmy do równika, to jest do miejsca, gdzie słońce świeci wprost nad głowami, zaczęły nas prześladować naprzemian upały i ulewy tak silne, że u nas każdą z nich nazwanoby oberwaniem chmury. Dopieroż był los jadących trzecią klasą.

„Polewki na talerzach wciąż im przybywało z nieba, nawet w czasie tych ulew nie mieli prawa schronić się wraz z jedzeniem do sypialni.

„W dniu, w którym przepłynęliśmy równik ziemi, to jest miejsce równo oddalone od obu biegunów — północnego i południowego, oficerowie i służba okrętowa urządzili sobie z podróżnych III-ej klasy zabawkę, zwaną „chrztem równikowym“. Na pokładzie ustawiono ogromną beczkę, pełną morskiej, słonej wody. Na wierzchu beczki położono deskę, a na desce sadzano podróżnego, który pierwszy raz przepływa równik i gdy

on się tego wcale nie spodziewał, wyciągano z pod niego deskę; biedak wpadał do wody, zanurzając się z głową. Służba, otaczająca beczkę, nie pozwalała kąpiącemu się wyjść z niej odrazu, zanurzając go po kilkakroć. Taka zabawa trwała zbyt długo i zaczynała już nudzić, więc prócz beczki służba urządziła inny jeszcze przyrząd. Był to worek siedm łokci długi, z obu stron otwarty, przez którego wnętrze prześlizgnąć się musiał każdy, kogo minęła kąpiel. Przy wyjściu z worka stanęło dwóch ze służby z wężami od sikawek, i puszczali na czołgającego się silny prąd wody słonej wprost w oczy. Majtkowie stojący po obu stronach worka, naciskali go, by utrudnić kąpiącemu się prędkie wyswobodzenie. Oficerowie, patrzący ze swej wzniesionej strażnicy, śmiali się do rozpuku, zaś naczelnik okrętu rozkazał wydać służbie po pół butelki wina, a skąpanym i przemokłym wychodźcom po garści orzechów. Zabawka ta z podróżnymi staje się dla niejednego trudną do zniesienia.

„W 25-tym dniu od wyjazdu z Genui pokazał się ląd, a wkrótce potem dopłynęliśmy do przystani brazylijskiej pod miastem Bahją.

„Dwustu wychodźców z naszego okrętu wysiadło tutaj, aby osiedlić się w okolicach Bahji. Podróż z Bahii do Rio Żanejro, stolicy Brazylii, trwała morzem jeszcze dni sześć, a przez cały ten czas towarzyszyła nam tak silna burza, że wejście do sypialni III-ej klasy zostało zamknięte, a na pokładzie pozostawać było bardzo niebezpiecznie, gdyż woda go zalewała i pogrążała ludzi aż po szyję. Dwa dni byliśmy bez ciepłej strawy, gdyż gotować wprost nie mogli. Wiele znajdujących się na pomoście sprzętów, lodownię, kurniki i paki z włoszczyzną zabrała woda wprzód, zanim to wszystko zdążono przymocować. Majtkowie przy pracy przywiązywali się linami do okrętu, żeby ich woda nie zepchnęła.

„Nakoniec burza ustała, a jednocześnie ujrzeliśmy ląd. Okręt wpłynął pomiędzy skaliste wysepki, wśród których kręciliśmy się kilka godzin z całą ostrożnością, żeby się okręt nie rozbił.

„Około południa zatrzymaliśmy się naprzeciwko głównego szpitala, zbudowanego na wyspie zwanej Wielką. Ze szpitala na okręt przybyła komisya lekarska, przed którą kazano jak owce przepędzić wszystkich podróżnych. Kazano nam sześć dni siedzieć w okolicach szpitala. Powodem tej ostrożności było to, że w czasie drogi zmarło na naszym okręcie „Roma“ dwóch mężczyzn, dwie kobiety i troje dzieci. Trupy, owinięte w żagiel, wraz z kilkoma kawałkami starego żelaziwa, wrzucone były do morza i poszły na dno; pogrzeb taki odbywał się bez żadnych obrzędów i zazwyczaj w nocy.

„Po tych sześciu dniach czekania i nudów ruszyliśmy w dalszą drogę. Podjechaliśmy jednak pod Ryjo Żanejro zbyt późno, więc statek nie mógł wejść jeszcze do przystani. Patrząc na odległe zaledwie o kilka wiorst miasto, rzęsiście oświetlone, wszyscy niemal spędzili noc na pomoście z niecierpliwością i niepokojem zarazem oczekując ranka.

„Byliśmy 38 dni w drodze. Wszyscy żalili się na gorąco, chociaż podróżni, jadący na „Romie“, byli Włochami, do ciepłego powietrza przyzwyczajonymi. W godzinę po opuszczenia kotwicy nadjechały od brzegu lądu małe statki, które odwoziły podróżnych na ląd, a rzeczy nasze na komorą celną“.

II.

Zanim opowiemy, jak tam było Nestorowiczowi w Brazylii, zobaczmy jak inny podróżnik, niejaki p. Dygasiński, tęsamą podróż opisuje. Są w tym opisie rzeczy o tyle ciekawsze, że Dygasiński jechał nie z Włochami, ale z naszymi braćmi z pod Moskala, którym w głowie coś zaświtało i myśleli, że w Brazylii będą mieli tyle złotych pieniędzy, co u nas miedziaków, że każdy dostanie przynajmniej pół wsi za darmo, a jadać będzie na srebrnych talerzach i kąpać się w winie.

Otóż ów Dygasiński taki list z okrętu napisał:

„Dnia 5-go listopada o godzinie 2-ej po południu wyruszył z Bremy, miasta nadmorskiego w Niemczech, koleją pociąg, wiążący wychodźców do przystani okrętowej; już przed 11-tą inny pociąg wywiózł ich też znaczną liczbę. Umieszczanie na okręcie trwało dwie godziny. Jest to okręt parowy, pod nazwą „München“ (Monachium), jeden z największych statków bremeńskich.

„Zszedłem z pokładu na dół do izb na pierwsze i drugie piętro. Na każdem z tych pięter wiszą w dwa piętra rzędy łóżek z żelaznych prętów. Na każdem łóżku spoczywa jeden dojrzały człowiek (matka lub ojciec) i dziecko. Przejścia między łóżkami są tak wąskie, że minąć się trudno. Policzyłem te łóżka w pierwszym oddziale i znalazłem ich na górnem piętrze 250, na dolnem 190, czyli pomieszczenie przeszło na 800 ludzi, licząc w to dzieci. Takich oddziałów jest na okręcie trzy.

„Zaraz pierwszego wieczora wychodźcy tu i owdzie na łóżkach ustawili obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej i głośno odśpiewali, „Gwiazdo morza, któraś Pana“. W jednym kącie jakiś pyszałek znowu przechwalał się swoją znajomością tego, co to jest dobry statek parowy: „Ten na ocean nie pójdzie—mówił, za słaby na to; ja do Nordy Ameryki jeździł, to ściany były w dubelt i okna het w dubelt; a to wszystko miękkie, ocean jak huknie, rozleci się, ćwieki wypadną“.

„Mieliśmy nazajutrz ruszyć w drogę, lecz mgła była nadzwyczajna, więc cały dzień przeczekaliśmy w przystani.

„Szukam między ludźmi na okręcie swoich znajomych i nie znajduję to jednego to drugiego, choć wiem, że miał teraz właśnie jechać. O, bo w ostatniej chwili,

przy wsiadaniu na okręt, niektórych już odeszła ochota do Brazylii. Jeden chłop z Kaliskiego był już na pokładzie okrętu, lecz w żaden sposób nie chciał zejść na dół. Służba go spychała, on się bronił, nareszcie uciekł z okrętu na ląd“.

„Przez cały dzień 6-ty listopada chodziłem, zabierając znajomości· „Zkąd Ojciec?“ — pytam i najczęściej odbieram odpowiedź: „z pod Mławy“, „z pod Nieszawy“ „z pod Słupi“, „z pod Włocławka“.

„Dnia 7-go listopada, gdy świtać zaczęło, okręt ruszył w drogę.

„Już pod wieczór tegoż dnia baby zaczęły się skarżyć, że im się we łbach kotłuje. Powstał wiatr, okręt zaczął tańczyć, woda wpadała aż na pokład, i zaczęła się sroga morska choroba. Dzień 8 listopada był niespokojny; fale miotały ciągle okrętem. Pochorowali się i ci, co dotąd wytrwali. Wszystkie kobiety mają głowy poobwiązywane, leżą wyciągnięte na siennikach, jęczą, przeklinają morze, Brazylię i chłopów, którzy je wyprowadzili z domów. Tylko gdzieniegdzie chłop jakiś trzyma się tęgo.

„Gdy wszyscy wylegną na pokład, wtedy można po stroju mniej więcej poznawać okolice, do których emigranci należą. Nie widzisz tutaj tylko białej i brunatnej sukmany, równie jak białej magierki lub czerwonej czapki z barankiem i pawiem piórkiem.

„Za to spostrzegam oto krępego chłopa w szarej kurpiowskiej kapocie, obszytej czarną taśmą i zapinanej na dwa rzędy guzów, z kieszeniami na tyle. Gdzieindziej znowu uwija się chłop wygolony, w długiej granatowej sukmanie i czarnym kapeluszu. Jakiś starzec chodzi w kożuchu z siwych baranów i z ogromnym kołnierzem futrzanym na plecach. Jest to ojciec rodziny, liczącej głów szesnaście; wygląda na człowieka, co zawsze był rozsądny w życiu; teraz dopiero strzelił bąka, ale dobrego. Dalej nieco w drelichowej marynarce i takichże spodniach, w kaszkiecie wytartym, zwieszonym na tył głowy, z szyją grubo owiniętą w szal włóczkowy i papierosem w ustach, umizga się do dziewczyny parobek dworski. W niskim i sztywnym kapeluszu bronzowym, w surducie, z rękami w kieszeniach od spodni, stoi rzemieślnik większego miasta. Inny jakiś emigrant przesuwa się w bardzo obszernym granatowym płaszczu z wielką peleryną i w czarnym kapeluszu. Tam znowu widać baranią czarną czapkę i czerwone rękawy koszuli, wyglądające z pod kaftana.

„Lekarze okrętowi mówią o tych ludziach, że są zdrowi i dobrze zbudowani; za to kobiety po większej części wątłe i słabe. Pomiędzy dziećmi panuje na okręcie wielka śmiertelność. Z dolnych pięter trudno wyprowadzić matki z dziećmi na pokład, na świeże powietrze. Te baby wolą duszne i cuchnące powietrze na spodzie okrętu.

„Zauważyłem, że wszyscy chłopi są dobrymi mężami i ojcami. Jak oni dbają o swoje chore żony, jak pielęgnują dzieci. Ojców zawsze spotkać można z dziećmi na rękach lub na kolanach. Ale baby są nadzwyczaj nieporządne: nie myją się, nie czeszą się, leżą na łóżkach wśród mnóstwa gratów i kawałków żywności. Bóg wie, co się znajduje na tem okrętowem łóżku, oprócz ciał ludzkich! Pożywienie naszym ludziom nie smakuje, bo sposób gotowania jest inny. Im dalej jedziemy, tem coraz mniej dobrego ludzie się spodziewają znaleść w Brazylii.

„Już po napisaniu tego listu, wdałem się w 'bardzo ciekawą rozmowę z oficerami okrętu. Z tego, co oni mi opowiadali, widzę, że wielkie nieszczęście czeka w Brazylii naszych rodaków. Od chwili jak przeszli granicę kraju naszego, stali się własnością wyzyskiwaczy brazylijskich, nie mających rąk do uprawy trzciny cukrowej i kawy! To wszystko, co dostali, to jest wolny przejazd koleją lub na okręcie, co zjedli i wypili, przyjdzie odpokutować zupełną utratą wolności. Wyślą ich w okolice puste, może błotniste, gdzie panuje żółta febra.

„Co można najgorszego tylko, dziś się dopiero dowiedziałem, kiedyśmy już daleko odpłynęli. Dotąd wszystko oficerowie ukrywali przed nami. Nie wyobrazicie sobie, jak mię te wiadomości zmartwiły!

„Gdyby morze przestało się tak gwałtownie poruszać, tobym jeszcze więcej pisał. Ale okręt nadzwyczajnie się kołysze, wszystko spada na ziemię, a ja sam ledwie się trzymam na nogach, niema podobieństwa pisać. Mamy ciągle wiatr północny, który wieje szalenie od samego przejścia między Francyą i Anglią.

„Dokładna liczba wychodźców na okręcie naszym jest 2650; są to rzemieślnicy, parobcy, bardzo mało rolnych chłopów. Chorobę morską, prócz mnie, przeszli wszyscy prawie. Jęk rozpaczy, wymioty rozlegały się na wszystkie strony.

„Nic już więcej nie piszę, bo i to ledwie mogę skończyć“. *(C. d. n.)*.

HISTORYA
O KŁÓTNIACH SZELIGÓW I BERDYSZÓW,
dwóch kmiecych rodzin w Gajowie,
i jak się pogodzili ze sobą.

Ci, co się staremi dziejami zajmują, w księgach odwiecznych siedzą i szperają, wiedzą dobrze, jak to nieraz na świecie swarzyli się królowie z królami, wielcy panowie z innymi wielkimi panami. Wiedzą także, ile to złego z tego powstało, ile jedni i drudzy na tem cierpieli, ba, nawet i tacy, którzy temu nie byli winni. Święta zgoda zawsze najlepsza! Ale chociaż mądrzy ludzie wiedzą i piszą o tych smutnych historyach, nie wiedzą pewnie, że i w Gajowie, sąsiedniej wsi odemnie,

od dawna, bo od sześćdziesięciu lat prawie, była wielka kłótnia i niezgoda między dwiema najbogatszemi kmieciemi rodzinami, która także niemało narobiła złego a teraz, chwała Panu Bogu, szczęśliwie się zakończyła, Bo jużcić, jeśli królowie się swarzą, to słychać w ich królestwach, a nawet na całym świecie: jeśli zaś kmiecie gajowscy, to tylko w Gajowie, chyba że tam ludzie z sąsiedztwa o tem pogwarzą, jak na ten przykład ja dzisiaj.

Gajów piękna to a wesoła wieś. Jest ci tam, jak to powiadają: mąka i łąka, grzyby i ryby. Pola dobre, pszeniczka na nich stoi jak mur — łąki i pastwiska doskonałe, że się bydło pięknie chowa — jest ładny lasek i kilka rybnych stawów, tak, że całe przysłowie stosuje się do Gajowa. Na niewielkiem wzgórzu stoi dwór murowany — tuż przy nim z pośród odwiecznych lip wygląda kościół starożytny i piękny — niżej plebania i organistówka, a wokoło wzgórza, wzdłuż dróżyny, rozłożyły się chałupy kmieci i zagrodników, białe, schludne, a zasobne widać, bo i stodółki niemałe, i innych pobudynków siła, jak na pańskim folwarku. Poniżej wzgórza mruczy sobie strumień obsadzony olchami, i klekocze młynek — a dalej już na wschód i zachód bujne pola to dworskie, to chłopskie dobrze uprawione, ciągną się z jednej strony pod las jodłowy, a z drugiej spuszczają ku zielonym łąkom, co je niebieski wężyk rzeczki przekrąża. Duża znać wieś, bo ledwie daleko gdzieś widać rzekę wielką, a za rzeką inne wsie i sadyby.

Gajów słynie zamożnością pana i chłopów. Mówią o niejednym, że ma konewkami cwancygiery i talarki w domu, czego dziś u nikogo w mieście nie uświadczy. Gospodarstwo idzie jak spłatka: bo i pan dobry i ludzie pracowici. Chociaż pańskiego już niema, zachował się w Gajowie zwyczaj pomagania sobie nawzajem. Pan nie żałuje żadnemu chłopu ani drzewa na budowlę, ani pastwiska za mierny odrobek, a jeźliby, czego Boże broń, zgorzał, to i za darmo; pani poratuje, gdy kto chory; proboszcz, poczciwy starowina, pomaga co może, a uboższemu ostatniej posługi nie żałuje, choćby mu nie zapłacono. Ale też i ludzie uczynni i wdzięczni. Robotnika nigdy nie brak, a jak pan zawoła, to rojem garną się żniwiarze i żniwiarki, i nie zdarzyło się, aby który poszedł za ogranicę dla kilku krajcarów więcej, albo żeby panu, dla nieżyczliwości ludzkiej, zboże na pniu zrosło. Sam widziałem, jak przy niepewnej pogodzie, chłopi gajowscy z własnej ochoty przyszli na tłokę po miesiączku, co wdział lisią czapkę, i bardzo jakoś deszczem groził, a pan nazajutrz zobaczył stojące kopy na łanie. Ucieszyło się też uczciwe panisko i wyprawiło sute okrężne, a panicze młodzi wyhulali pracowite żniwiarki gajowskie, i pan sam zaczął taniec z starą Tomaszową, a pani ze starym Tomaszem Szeligą.

Z tego com wam dotąd opowiedział, zdawałoby się, że ten Gajów, to raj prawdziwy. Gdzie tam! „niema takiego kącika, gdzieby nie było krzyżyka“. Otóż i w Gajowie był krzyżyk. Cały tydzień było spokojnie jak makiem zasiał — ale za to w każdą niedzielę, w każde święto tartas i rwetes! Ledwie się skończą nieszpory, aliści wszyscy do karczmy, a jeszcze byś pacierza nie zmówił już krzyk i bitki. Często musiał sam pan lub proboszcz wdawać się w sprawę i rozganiać. Myślałby kto, że gajowianie byli wielcy pijacy — ale i to nie. Pan, chcąc przeszkodzić pijatykom, wypędził z karczmy żyda arendarza, co to zwykle ludzi do kieliszka nawodzi, i osadził w niej własnego sługę, statecznego i poczciwego człowieka, aby szynkował. Ten miał wyraźny rozkaz, aby ludzi ile możności wstrzymywał, a na bórg nie dawał. Nie byli więc gajowianie pijakami — jeno ich co innego do karczmy i bitki ciągnęło.

Najzamożniejszymi kmieciami w Gajowie byli Szeligowie i Berdysze. Każdy miał po kilkadziesiąt morgów dobrego gruntu, trzymał cztery dziarskie koniki i po parze wołów, a krowy i jałownik nie ustępowały pańskiemu. Mieszkali w sąsiedztwie najbliższem, tak że płoty zagród stykały się z sobą, a chałupy patrzały na siebie. Nikt lepiej nie gospodarzył w całej wsi, nikt tak nie pracował jak Berdysze i Szeligi. Na Tomaszu Szelidze i Macieju Berdyszu zawsze najlepszy kożuch i sukmana jak z igły — na Maciejowej i Tomaszowej najlepsza spodnica i chustka — a korale jak orzechy włoskie. Ale cóż z tego: Szeliga nie cierpiał Berdysza, a Berdysz Szeligi. Jeżeli się spotkają, nie powiedzą sobie: Niech będzie pochwalony — ale jeden i drugi klną pod nosem i patrzą na siebie jak zbóje. Jeżeli Maciejowa spotka Tomaszową, to nuż jedna na drugą wołać: a ty taka, a ty owaka! aż Tomasz i Maciej wylecą z chałup z kijami i bitka gotowa. Jeżeli parobek Tomasza jedzie na wozie, a spotka się z Jankiem, synem Berdysza, jeden drugiemu nie wyminie na włos, jeno lecą na siebie jak opętani i nuż batami się smagać aż się pokrwawią, a kiedy się przecie jakoś wyminą, to jeden na drugiego woła zdaleka: Poczekaj bestyo! odekpi się to, odekpi! A co najgorsza, cała wieś podzieliła się: jedni trzymają z Berdyszem, a drudzy z Szeligą. Jeśli się żenią, to tylko między swemi, jeśli stawiają chałupę, to po stronie tego albo owego, na Berdyszowskim lub Szeligowskim końcu. Jeśli się kto Gajowiana pyta: zkąd jest? to musi potem spytać: z którego końca? a Gajowianin odpowiada: z Berdyszowego albo Szeligowego. Toż kiedy się zejdą w karczmie, nie ma rady: muszą się kłócić i swarzyć, od słowa do słowa, a jużci bitka gotowa, — a lgną do karczmy jak na lep, nie żeby się zabawić, jeno żeby się wybić. Jednej niedzieli wybije Berdyszowski koniec Szeligów, w drugą gotują się Szeligi, aby oddać Berdyszom wet za wet i to z procentem.

Co też to pan i proboszcz się natrapili! Jeden i drugi o zgodzie kazania prawi, pan we dworze, proboszcz w kościele. Proboszcz grozi, że nie da rozgrzeszenia przy spowiedzi — a Berdysz i Szeliga niby się godzą — tydzień albo dwa cicho — aliści dyabel nie śpi, i zaczyna się dawna termedya. Proboszcz woła obu do siebie i grozi znowu:

— To ten, z przeproszeniem Dobrodzieja, psiawiara, Berdysz winien — mówi Tomasz.

— To ta bestya Szeliga, krzyczy Maciej, i ani rusz ich pogodzić.

A ta niezgoda niby to chwast, co się w ziemię gajowską wkorzenił, trwa już pono sześćdziesiąt lat. Dziad Berdysza, jak Szeligowie gadają, zaczął. Berdysz utrzymuje, że dziad Szeligi. To pewno, bo i proboszcz tak powiada i pan z papierów dominikalnych doszedł, że się kłótnia zaczęła o kopce graniczne między rolami obu kmieci. Dziad jednego rozburzył kopiec i posunął go dalej, podczas gdy drugi był na wojaczce; a ten wróciwszy, zamiast się domagać sprawiedliwości u sądu sam sobie ją zrobił, posunąwszy w innem miejscu kopiec o dwa zagony. Odtąd zaczęła się wieczna bitka; rokrocznie jeden drugiemu nie dał ani orać, ani zbierać; aż nareszcie, gdy raz byli oba pijani, wszczęła się między nimi kłótnia, od kłótni przyszło do cepów, które mieli w ręku, od cepów do nożów i oba pokaleczyli się śmiertelnie i pomarli oba. Powiadają, że nad kopcami granicznemi słychać często jęki bolesne i ludzie utrzymują, że to dusze obu nieboszczyków. Pastuch widział białe ich duchy, płaczące gorzkiemi łzami na miejscu, gdzie ciężki grzech naruszenia cudzej własności popełnili. Synowie ich, a ojcowie dziś żyjących w Gajowie kmieci, zamiast się upamiętać, szli dalej drogą ojców. Dawali oni wprawdzie grubo na msze i na wywoływanie duszyczek pokutujących — ale nie pamiętali, że lepsza poprawa życia niż fałszywe nabożeństwo,— że się modlili pod figurą, a tegoż samego dyabła mieli za skórą.

To też i oni smutny mieli koniec. Wdali się w prawo, ale zamiast czekać wyroku, robili sobie sami sprawiedliwość, jak wprzódy. Zamiast zaufać słuszności swojej sprawy, jęli przekupywać mandataryusza, a że to był człowiek nieuczciwy, więc nie skończył procesu, ale zostawił rzecz jak była, aby większe z nich mógł zyski ciągnąć. *(D. c. n.).*

* * *

Witaj, witaj, roku nowy,
Z wiarą w przyszłość patrzym w ciebie,
Nędzy naszej zrzuć okowy,
Pobłogosław naszej glebie.

Ciężka praca w twardej doli,
Oj, przypadła nam w udziale,
Dużo chwastu jest na roli,
Pług na twardej gnie się skale.

Lecz nie traćmy w sercu wiary:
Bóg nad nami — w Jego mocy
Skrócić nasze łzy, ofiary,
Wzniecić światło w miejsce nocy.

Więc błagajmy Go: „o Panie!
„Ziemi, nieba wielki Boże!
„Prowadź lud Twój przez otchłanie,
„Daj mu ujrzeć szczęścia zorze!

„Niech ku wiecznej Twojej chwale
„Pan i chłopek idą zgodnie,
„Ziarno cnoty rzuć im w dziale,
„Nienawiści wypleń zbrodnię.

„Niechaj orzą ziemię starą,
„Pełni serca, pełni zgody,
„I z niezłomną dążą wiarą
„Do miłości i swobody!“

K. B.

Od Redakcyi Krakusa.

Ponieważ nowo przybywający prenumeratorowie domagają się wszystkich poprzednich N-rów *Krakusa*, a N-ra 1 i 2 są wyczerpane, przeto kazaliśmy przedrukować z tych dwóch Nrów to, co dla nowych prenumeratorów potrzebne, a mianowicie „Słowo na powitanie“, aby wiedzieli czego *Krakus* chce i dlaczego wychodzi, oraz początki tych artykułów, które ciągną się w dalszych numerach, a ponieważ zostało jeszcze na papierze trochę miejsca, dodaliśmy mały wierszyk na powitanie Nowego Roku.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: ***Kazimierz Bartoszewicz.*** *— Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.*

W drukarni „Czasu“ w Krakowie Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.